

Ostatecznie nie miało znaczenia,  
co powiedziałam na rozprawie.  
Nikt mi nie uwierzył.

Arcydzielo!  
Janice Hallett

Wciągająca  
„The Times”

# STRACONA

KATE FOSTER



KATE FOSTER

# STRACONA

PRZEŁOŻYŁA  
Edyta Świerczyńska



TYTUŁ ORYGINAŁU:

*The Maiden*

Redaktorka prowadząca: Ewelina Kapelewska

Wydawczyni: Katarzyna Masłowska

Redakcja: Ewa Kosiba

Korekta: Małgorzata Lach

Projekt okładki: Moesha Parirenyatwa, Pan Macmillan Art Department

Opracowanie graficzne okładki: Wojciech Bryda

Zdjęcie na okładce: © Charlotte Day

Wyklejka: © Charlotte Day

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2023 by Kate Foster

Copyright © 2025 for the Polish edition by Wydawnictwo KobiECE

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Edyta Świerczyńska, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2025

ISBN 978-83-8371-896-5

Grupa Wydawnictwo KobiECE | [www.WydawnictwoKobiECE.pl](http://www.WydawnictwoKobiECE.pl)



## ROZDZIAŁ 1



# Christian

*Więzienie Tolbooth, Edynburg  
październik 1679*

**Z**ostajesz skazana na ścięcie. Niech Bóg zmiłuje się nad twą duszą. Przygotuj się w modlitwie na spotkanie z Panem”.

Słowa szeryfa, solenne niczym dzwony katedry Świętego Idziego, dźwięczą mi w uszach przez całą drogę z sądu do więzienia. Sześciu uzbrojonych w pałki konstablów wlecze mnie przez plac. W prospektach napisano, że jestem niebezpieczna, lecz to nie przeszkadza ich wolnym dłoniom obłapiać mnie, gdzie popadnie, po zbójceku zrywać guziki i kokardki. Wśród ogłuszającego zgiełku ulicy widzę tylko lubieżne, zlewające się w bezkształtną masę twarze. Ręce mam skute kajdanami, więc moją jedyną bronią przeciwko co śmielszym napastnikom są wymierzane na oślepie kopniaki.

Jestem w samym oku cyklonu, w którego zwodniczy spokój wdzierają się skrawki doznań: kwaśna woń ulicznego kramarza, przebłysk czerwonego pióra u kapelusza, szczęk ostrza, które dopiero spadnie.

Mówili, że może uda mi się zjednać sobie sędziego.

„Włóż tę białą suknię z koronki. Padnij na kolana i przysięgnij, że jesteś niewinna”.

Teraz strzępy uwalanej sukni wiszą na mnie żałośnie, uparcie ciągnąc w błoto, dopóki nie zatrząskują się za nimi ciężkie drzwi więzienia. Żałuję, że nie próbowałam odszukać wzrokiem Johanny i po raz ostatni nie spojrzałam w niebo.

Ciągną mnie po schodach do labiryntu cuchnących korytarzy tu i ówdzie oświetlonych anemicznym żółtawym płomieniem latarni. Gdy mijamy cele dłużników i wszelkiej maści skazańców, ich lokatorzy już wiedzą. Bo mają uszy. „Ciach!”, syczą przez kraty, z błyskiem w oku gładząc się brudnymi paluchami po nie mniej brudnych szybach.

Wtrąciwszy mnie do ostatniej celi, zziązani konstable ocierają pot z czoła. „Nieźle ziółko!”, mówią ich pożądlive spojrzenia, którymi omiatają mój rozchełstany stanik, gdy próbuję go poprawić. Pomimo mroku ich wilcze zęby błyskają w uśmiechu. Nie zważając na wilgoć, przywieram do najdalszej ściany z zakratowanym okienkiem.

„W poniedziałek o świcie zostaniesz zaprowadzona na taras Tolbooth na spotkanie z ostrzem Dziewicy. Szukaj kapłana, by towarzyszył ci w tych ostatnich godzinach. Morderczyni”.

Trzy dni. Czy każą matce patrzeć? Czy zobaczę jeszcze Johannę? I falujące, porośnięte żółtym janowcem pola Corstorphine, tak żywe i zuchwałe jak niegdyś ja sama?

Dziś zostało mi już tylko kołatanie złęknionego serca odmierzające ostatnie minuty życia, które skończę na klęczkach w obszcanej sukni skuta, bosa i we łzach.

Powinnam była błagać goręcej.

Powinnam była zapłakać nad jego śmiercią.

Konstabile wyglądają kurtki, poprawiają kapelusze i odmaszerowują, zostawiając mnie sam na sam z roslym strażnikiem, który staje w rozkroku w drzwiach.

– Ten twój adwokat pewnie czeka na dole – oznajmia, nie ruszając się na centymetr.

– Czy mógłbyś go przyprowadzić? – proszę. Zdążyłam się już nauczyć, by akurat do niego podchodzić z pokorą.

– A co dostanę za fatygę? – pyta z błyskiem w oku widocznym nawet w cieniu krat przecinającym jego zakazaną gębę.

– Zwyczajowe dwie monety – szepczę.

– Teraz, gdy cię skazali, moja cena wzrosła – odparowuje.

Na te słowa resztką siły woli opanowuję drżenie. Nie zobaczy mojego strachu.

– Podaj ją więc memu adwokatowi – mówię, a on kiwa głową, nieśpiesznie krzyżując ręce na szerokiej piersi, jakby rozkoszował się każdą chwilą naszej „pogawędki”.

– Nie omieszkam – rzuca. – I pamiętaj: możesz mieć tu wszystko, czego dusza zapagnie. Za odpowiednią cenę. – Wyszczera zęby, oblizując usta językiem. Na myśl o małym tête-à-tête z morderczynią krew uderza mu do twarzy.

– Dziękuję – bąkam najwylewniej, jak tylko potrafię.

Dzwoni kluczami i wolno wychodzi, zatraskując za sobą drzwi. Po chwili korytarzem niesie się tylko słabnące echo jego radosnego pogwizdywania.

A ja po raz pierwszy od ogłoszenia wyroku zostaję sama.

Dziewica. W jednym z pamfletów, które znalazły drogę do naszej biblioteki w Roseburn House, był jej szkic. *Najohydniejsze zbrodnie Szkocji*, brzmiał jego tytuł. Leżał na najwyższej półce i zakazano mi do niego zaglądać, więc robiłam to tylko wtedy, gdy nikogo nie było w pobliżu. Instrument do wykonywania

kary śmierci o drewnianych ramach i stalowym ostrzu. *Budząca grozę machina wysokości dwóch dorosłych mężczyzn stosowana wyłącznie do egzekucji szlachetnie urodzonych. Śmierć od jej ostrza jest ponoć bardziej bezbolesna niż od topora, choć żadna z jej ofiar, ma się rozumieć, nie powróciła, by to potwierdzić* – głosił pamflet i pod spodem wymieniono nazwiska przeklętych na wieki skazańców, którzy zakosztowali ostrza Dziewicy.

Zgroza. Rzuciłam broszurkę z powrotem na półkę, jakby parzyła, ale do końca dnia nie mogłam się otrząsnąć z wrażenia, jakie zrobiła na mnie jej okrutna bohaterka. „Co znowu nabroiłaś, Christian?” dopytywała przy stole Johanna, widząc moją niecodzienną bladość.

„Z zimną krwią zabiłaś lorda Jamesa Forreстера”.

Gdyż koniec końców moje słowa nie miały najmniejszego znaczenia. Nikt na sali sądowej nie dał im wiary.

A teraz przybędą tysiącami, by oglądać moją egzekucję. Każda upudrowana peruka i żebracza miska zwrócona zgodnie ku szafotowi.

W uszach słyszę przenikliwe dzwonienie zwiastujące kolejny atak żołądka. Tylko nie to. Nie mogę zwymiotować, bo ten obmierzły strażnik znów zedrze ze mnie przyodziewek jak wtedy pierwszego dnia. Jego gorący oddech na mojej szyi. Najlepsza peleryna. Kornet. Jedwabna halka. „Nic tu po eleganckich strojach”. Potrzebuję powietrza. W celi cuchnie nieopróżnionym nocnikiem. Opieram czoło o zimne okienne kraty i dzwonięcie w uszach zastępują połajanki matki, które znam na pamięć. „Christian, nie. Bo złapie cię słońce. A dama nie powinna mieć piegów”.

Wciąż nią jestem. Damą. Ostatni szlachetny przydomek, którego kurczowo się trzymam.

Z dołu dobiega człapanie porządnych skórzanych trzewików na kamiennych schodach. Przez niewielki zakratowany otwór u szczytu drzwi widzę, jak mój adwokat, pan Dalhousie, zdejmuje kapelusz. Brodę ma splątana od nerwowego mierzwienia towarzyszącego równie splątanej mowie obrończej, której nie pomógł nawet gruby plik notatek przytaszczonych do sądu.

Jego palce owijają się wokół krat i podchodzę bliżej.

– To już koniec – stwierdza z rezygnacją. – Pomówię z kapelanem więziennym. Przyjdzie się z tobą pomodlić, pani... – Głos więźnie mu w gardle.

– Panie Dalhousie – szepczę przez kraty, zaciskając palce na jego pięściach aż do pobielenia kłykci. W ustach nagle czuję kwaśny posmak. – Na pewno da się coś jeszcze zrobić.

– Obawiam się, że nie. Obronie nie dano wiary – starannie dobiera słowa. Ciekawe, czy mój własny adwokat w ogóle mi wierzy, bo jego sceptycznie zmarszczone czoło od początku mówiło więcej niż tysiąc słów. – Kapelan więzienny służył pociechą wielu skazańcom, pokrzepi i ciebie, pani.

– Nie chcę żadnej duchowej pociechy – wycedzam wolno, by przyjął to do wiadomości. Gdyż dotarło do mnie, niestety poniewczasie, że pomimo gór ksiąg i notatek wiszących karkołomnie nad głowami jego asystentów pan Dalhousie raczej nie należy do najbystrzejszych. – Proszę, aby powtórzył pan memu mężowi, że nadal go kocham, bez względu na wszystko. A jeśli w jego sercu została choć krztyna miłości do mnie, spełni moją ostatnią prośbę. Chyba że chce publicznego upokorzenia w postaci widoku żony na szafocie.

Pan Dalhousie zdaje się nigdy nie słyszał tak dosadnych słów z ust damy, bo jego grdyka podskakuje, gdy z trudem przetyka ślinę. Musi mieć w tym swój udział również wszechobecny

odór ekskrementów wzierający z głębi więziennych trzewi, który ogłędnie mówiąc, chyba nie służy jego delikatnemu powonieniu.

– Nie widzę, co jeszcze twój mąż mógłby zrobić, pani – szepcze przez kraty. – Choć nie miał takiego obowiązku, pan Nimmo już wydał fortunę na adwokatów. Nie wspominając o zapewnieniu ci bezpiecznych i jak najwygodniejszych warunków wśród tej przestępczej zgrai. Obawiam się, że czas pogodzić się z losem.

– Przekaż memu mężowi, że chcę przekupić strażnika, by pomógł mi uciec – mówię szeptem, ściskając jego wiotkie palce.

Pan Dalhousie nigdy nie przeciąga tych wizyt. Zostaje na tyle długo, by mieć co opowiadać swym kolegom po fachu nad szklaneczką trunku czy podtrzymać na duchu matkę i Johanę. „Znosi to dzielnie. Jej zawzięta natura ma jednak swoje zalety”.

Gdy znów zostaję sama, mój oddech wreszcie wraca do jakiejś takiej normy. Modląc się, by pan Dalhousie przeszedł obojętnie obok kuszących witryn Luckenbooths, oczyma wyobraźni odprowadzam jego postać prosto do dorożki, która ma go zawieźć do mego męża.

Teraz mogę tylko czekać.

Jest późne popołudnie i główna ulica dopiero budzi się do życia – codzienna bieganina za sprawunkami dobiegła końca i tylko patrzeć, jak poranna klientela aptekarzy i perukarzy przeniesie się gremialnie do domów uciech, po drodze zahaczając o kawiarnie i bary ostrzygowe, w których niechybnie zaroi się od plotek. Już widzę, jak brać cechowa pospołu ze szlachecką pochyla się nad dzisiejszym propektem, by za śmieszłą cenę

jednego pensa być na bieżąco z najświeższymi doniesieniami. A boleśnie szczegółowy raport z sali sądowej to idealna pożywką dla złaknionych skandali apetytów.

**Pani Christian Nimmo NIE PRYZNAJE SIĘ  
do zabójstwa swego kochanka i zarazem wuja,  
lorda Jamesa Forreстера!**

Kto by pomyślał? Żona kupca Nimmo z lordem Forresterem! Hańba dla nich obojga. Hańba dla rodziny. A jej wina jest niewątpliwa. Widzieliście dzisiejszą burdę? Ci biedni konstable ledwie uszli z życiem.

**Niech Bóg zmiłuje się nad jej duszą.**

Plotka skacze z głowy na głowę jak chyża wesz i lotem błyskawicy rozbiega się po całym Edynburgu. Zrodzona przy zasłanych prospektami kawiarnianych stolikach przemyka ciasnymi zaułkami i wślizguje się do salonu, sypialni i powozu, wpada na dno filiżanki i planszę do tryktraka.

I tak jak wesz wszędzie, gdzie się pojawi, żeruje na prawdzie i reputacji.

Przymykam powieki i powtarzam sobie, kim jestem, bo tego jednego mi nie odbiorą. Nie puszczając nici, z której utkana jest moja historia, sięgam pamięcią do jej początków. A wszystko zaczęło się zeszłej jesieni w Roseburn. Jakby to było wczoraj.

## „PROSPEKT KALEDOŃSKI”

*Edynburg, 26 września*

RELACJA Z PROCESU PANI CHRISTIAN NIMMO  
– PRZED OBLICZEM SZERYFA JOHNNA MACDONALDA

Jedyny naoczny świadek, panna Violet Blyth, pokojówka zamordowanego lorda Jamesa Forreстера: „Widziałam to jak na dłoni, panie. Bo tam byłam, panie. Wszystko stało się pod jaworem na końcu alejki. To była ona, panie”.

(W tym miejscu świadek wskazuje palcem ławę oskarżonych i panią Nimmo).

„Nie, nie tknęłam w życiu ani kropelki, a tamtego dnia zjadłam tylko garsteczkę łakoci. Kandyzowanych wiśni, jeśli pamięć mnie nie myli, panie”.

„Och, i to jak krzyczeli! Mówiłam już o tym konstablom, panie. A potem przebiła go jego własną szpadą. Może i jest damą, ale walczyć umie jak mężczyzna, panie”.

„Bo tak jest, pani. Próżno oskarżasz mnie o tę zbrodnię. Nikt przy zdrowych zmysłach w to nie uwierzy. Nie wiedziałabym nawet, za który koniec szpady złapać, panie”.

Pani Rita Fiddes, znajoma panny Blyth: „O, Violet dobrze wie, jak posługiwać się męską szpadą, jeśli wie pan, co mam na myśli. Ma w tym aż nadto doświadczenia. Aż nadto”.

(Na te słowa przez widownię przetacza się fala stłumionego śmiechu. O godzinie czwartej zostaje ogłoszona przerwa i szeryf MacDonald udaje się na wczesną kolację, na którą był umówiony).



*Sięgnij po  
więcej!*



 [www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

 [kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)

 [wydawnictwo.kobiece](https://www.instagram.com/wydawnictwo.kobiece)